

Autor: Tadeusz Oszubski

Tytuł: Filary Niebios

Z "NF" 7/95

Stała przy trapie, a rozwichrzone wiatrem włosy otulały jej twarz złocistą pajęczyną. Nie zwracała uwagi na bagażowych, wnoszących na pokład parowca sterty waliz i toreb podróŜnych. Teodor, zanurzony wśród gorączkowej krzątaniny portowego tłumu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż ma przed sobą kunsztownie wykonaną, porcelanową lalkę. Jasną i gładką, o delikatnie rzeźbionych rysach.

Od chwili, w której zetknęły się spojrzenia, jego i pięknej rówieśniczki, chłopiec doświadczał ekscytujących odczuć. I nie znajdując innego sposobu na wyrażenie emocji, uniósł trzymany w rękę parowiec o bocznych kołach napędowych. Błaszaną zabawkę ze sprężynowym mechanizmem, nakręcaną kluczykiem.

Dziewczynka w odpowiedzi podrzuciła swoją lalkę. wysoko, ponad głowę. Przypominało to spotkanie spiskowców wymieniających tajemne znaki. Pełne niedomowień, budzące radosne napięcie.

Posłała Teodorowi uśmiech, a potem, przyciskając do piersi lalkę, wsunęła delikatnie palce w dłoń siwowłosego mężczyzny, który wyłonił się z tłumu. Potem oboje weszli po stopniach trapu na pokład statku.

- Paszporty już ostemplowane, Zosiu. Wszystko tu, w porcie chodzi jak w zegarku!

Ożywiony głos ojca zwracającego się do matki rozdarł złocistą sieć oczarowania. Przypomniał chłopcu, że przed nim inna, największa w dotychczasowym ośmioletnim życiu przygoda. Morska podróż na wyspę Capri, gdzie czekał stryj Leopold.

- Wspaniale, Stanisławie. Spieszmy więc, bo odpłyną bez nas - powiedziała matka.

Zawsze popierała męża w kwestii spraw publicznych i w żadnych okolicznościach nie zapominała, by wizerunek Ossowickich zgodny był z wybranym przezeń stanowiskiem.

- Teodoru! Chodź tu natychmiast, bo na nas już czas najwyższy! - zawołała, po czym chwyciła zamyślonego chłopca za spoconą dłoń. Ujęła potem swego Stanisława pod ramię i dała znak dwóm bagażowym, objuczonym ciężkimi kufkami, lżejszymi pudłami na kapelusze oraz futerałem ze skrzypcami Teodora. Ossowiccy mieli już za sobą kontrolę paszportów, podjęli więc z godnością wspinaczkę śliskimi stopniami trapu.

Na pokładzie pierwszej klasy czekał kapitan parowca. wyprostowany do granic możliwości, w sprzyjającym tej pozycji, doskonale skrojonym mundurze zdobionym galonami. Towarzyszył mu zmęczony intendent z listą pasażerów.

Teodor odniósł wrażenie, że ma przed sobą grupę ruchomych figur powleczonej cienką warstwą metalu. StraŜników bramy nieznanego, nagle dostępnego świata, gdzie cichł zgiełk portowego nabrzeŜa. Gdzie przedpołudniowe słońce ześlizgiwało się po białym mundurów, a zapach stali, towotu i węglowego dymu zdawał się materialny.

Oficer, znudzony rutyną obowiązków, z wyraźnym wysiłkiem ułożył rysy w nowy wzór. Imitację dobrotliwości okraślił uśmiechem. Dopiero tak przygotowany przemówił:

- Jestem kapitan Eichhorn. Witam na "La Lunie", najbardziej luksusowej jednostce Linii Morskich Brubanksa.

Skończył, pochylił się nad stojącym między rodzicami

Teodorem i poklepał go po policzku. Chłopiec odpowiedział niepewnym uśmiechem.

- Widzę, żeśmy kolegami. Dowodząc statkami, obaj jesteście pierwszymi po Bogu - zażartował Eichhorn, wskazując blaszany parowiec chłopca.

- Pański statek jest większy, kapitanie - szepnął nieśmiało Teodor, choć zwykle nie przepuszczał okazji, by popisać się nienaganną znajomością języka niemieckiego. Jednak szybko odzyskał rezon i wyjął z kieszeni spodenek kluczyk do zabawki.

- Też ma pan taki? - spytał.

Eichhorn zaniósł się wymuszonym śmiechem, spoglądając przy tym porozumiewawczo na rodziców chłopca.

- Kiedy urośniesz, będziesz miał duży statek, kawalerze. I duży kluczyk! - oświadczył.

Twarz Zofii Ossowickiej wyrażała niesmak, co Teodor zdążył zarejestrować ukradkowym spojrzeniem. Kapitan zaś przestał okazywać zainteresowanie chłopcu i powitał służbiście następną wchodzącą na pokład pasażerkę:

- Witamy na "La Lunie", panno Leary.

Wówczas Zofia skinęła głową w pospiesznym i niedbałym pożegnaniu. Po czym w ślad za stewardem wskazującym drogę powiodła rodzinę oraz bagażowych do kajut.

Teodor stał na pokładzie spacerowym i zaciskał kurczowo palce na relingu. "La Luna" odbijała od nabrzeża. Znany świat oddalał się, co wzbudzało lek zacierający radość z oczekującej przygody pełnomorskiego rejsu.

Urządzenia portowe stawały się coraz mniejsze. Wkrótce i panoramę Triestu pochłoniął błękit napływający ze wszystkich stron. Bo niebo u schyłku czerwca roku 1914 było ultramarynowe i niemal przezroczyste, a wody Adriatyku zaledwie o ton ciemniejsze.

Jasnowłosa dziewczynka nazywała się Lysetta Eisler. Podczas sjesty, w kilka godzin po opuszczeniu Triestu, Teodor spotkał ją ponownie, tym razem na pokładzie spacerowym.

Lysetta uśmiechała się promiennie, Teodor odczuł nie dające się sformułować wrażenie obcowania z pięknem wielokrotnionym. Bowiem lalka, z którą dziewczynka się nie rozstawała, miała twarz taką samą jak Lysetta. Nawet rysy drugiej, jeszcze mniejszej laleczki, niespełna trzycalowej, tulonej w ramionach przez większą z kukiełek, były wiernym odbiciem wizerunku panienci Eisler.

Lalki miały zgrabne porcelanowe główki. Zaś skomplikowane mechanizmy androidów ukryto pod ich jedwabnymi sukienkami, w korpusach wykonanych z drewna i metalu. Większy z automatów potrafił chodzić, kołysać do snu mniejszą laleczkę (ta jedynie unosiła prawą rączkę i odwracała główkę), pokonywał też niewielkie wzniesienia, a nawet nucił wdzięcznym głosem prostą melodyjkę. Potrafił więc niemal tyle, co jego ośmioletnia właścicielka.

- To jest dusza Coppelia - powiedziała Lysetta, pokazując Teodorowi ozdobny, srebrny kluczyk. - Mój tatuś jest słynnym wynalazcą, a Coppelia to dzieło jego kochanych rąk.

- A ja dostałem od stryja Leopolda... - wybuchnął rozgorączkowany chłopiec, zaraz jednak umilkł. Bo, co prawda, ścisnął w dłoni kluczyki ożywiające ulubione zabawki, ale one same pozostały w walizce. Zerwał się więc i pobiegł do kabiny. Gdy wrócił, choć minęło zaledwie kilka minut, pokład spacerowy zdążył opustoszeć. Nie było również Lysetty.

Teodor usiadł na jednej z ławeczek, tuląc do piersi prezenty stryja Leopolda. Błaszący parowiec i pozytywkę - tę cenił wyżej. Zawsze, gdy wkładał kluczyk w stosowny otwór i sprężyna mechanizmu napinała się z delikatnym zgrzytem, chłopca przeszywał dreszcz. Czuł się bliższy jakiejś tajemnicy - strasznej i zarazem o ogromnym znaczeniu.

Potem pozytywka zaczynała cicho grać romantyczną melodię. Elementy okryte szklaną półkulą ożywały, pierzchał lęk i niepewność. Cynowa figurka (stryj Leopold mawiał, że jest ona duszą chłopczyka, który był wirtuozem), tak podobna do Teodora, poruszała smyczkiem z kości słoniowej i kołysała cynowymi skrzypcami. Ożywały także cztery cynowe kolumny otaczające metalowego grajka. Obracały się wokół własnej osi, poruszając równocześnie rozpiętym nad cynowym chłopcem skrawkiem nieba ze szkła napuszczanego błękitem i bielą. Teodor nazywał te zdobione ruchome kolumny Filarami Niebios, chroniły przecież figurkę przed zmiążdżeniem ciężarem firmamentu. Była to sceneria, w jakiej niewinne dusze oglądają Boga. Rola Filarów była dla Teodora równie oczywista i ważna, jak miłość matki, surowość ojca, chłód zimy czy skwar lata.

Czekał, siedząc na twardej ławce, jeszcze przez kwadrans, jednak Lysetta nie wróciła. Nie wiedział, jak spędzić czas pozostały do ćwiczeń muzycznych, nadzorowanych przez matkę. Bezwiednie wyruszył na wędrowną po statku.

Najpierw zszedł na dobrze znany pokład pierwszej klasy. Nie zatrzymywany, przemknął na niższy poziom. Potem, już bez opamiętania, niczym czerw drażący spróchniałe drewno w poszukiwaniu jądra pęczniejącego życiodajnymi substancjami, schodził coraz niżej. W głąb konstrukcji, ku źródłu energii.

Drgania narastały, stalowe arterie korytarzy wibrowały coraz silniej. I czując dojmujący skwar, zaduch, chłopiec zdał sobie sprawę, że dotarł do trzewi "La Luny".

Podszedł do uchylonych drzwi ze stali wabiących skrywaną tajemnicą. Dobiegł zza nich łoskot. Bił blask.

Teodor doświadczał oznak obcowania z nieznaną siłą - dreszcze, jak wtedy gdy nakręcał pozytywkę. Jakże więc mógł zapanować nad ciekawością?

Wewnątrz ogromnej sali, wykładanej arkuszami blachy łączonymi nitami, pełgało czerwone, niezdrowe światło wpółotwartych palenisk. Wśród blasku i smrodu spalanego węgla, rozgrzanych metali, smarów i dymu miotały się półnagie postaci. Przypominające dzikie zwierzęta w klatkach diabolicznej menażerii. Nie mogły przecież być ludźmi, bo ludzie są ubrani, czyści, metalicznie gładcy. I nagle Teodor zrozumiał, że odkrył piekło ukryte pod pokładem "La Luny".

Z przerażeniem bliskim zachwyceniu obserwował demoniczną panoramę, rozciągającą się u jego stóp. W bezpiecznej odległości. Lecz wkrótce jedno ze stworzeń uwięzionych pośród żaru, znalazło się na tyle blisko, by spostrzec obecność chłopca. Zamarło na sekundę, by potem, nie tracąc czasu, z nieludzką wprost zręcznością ruszyć ku stalowym schodom. Poczęło przerażająco szybko wspinać się ku Teodorowi. A może ku uchylonym drzwiom? Bo czymże były te usmolone istoty, jak nie bestiami przetrzymywanymi w karnym zamknięciu? A teraz, z braku przezorności, chłopiec wskazał im drogę ucieczki!

Cóż znaczyło pokonać setkę stopni! Teodor zdał sobie sprawę, że nie ma dla niego ratunku i lęk zdominował wszelkie inne odczucia. Do tego, w chwilę później, na ramieniu chłopca zacisnęła się silna dłoń. więc drżał. Wreszcie, zebrawszy siły, odwrócił się. Był gotów przyjąć najgorsze.

- Nareszcie panicza odnalazłem. Rodzice są bardzo zaniepokojeni - powiedział miękkiem głosem przybysz, jeszcze mocniej ściskając ramię chłopca.

Jakże różnił się ten odziany w biały uniform, czysty i połyskliwy nieznanemu od stworzenia, które tam w dole uporczywie pokonywało szczeble stalowej drabiny, mknąc z dna piekła ku drzwiom świata.

Nieskazitelną przybysz podążył wzrokiem za spojrzeniem Teodora i dostrzegł zbliżającą się, niemal nagą postać. Wówczas wysunął się przed sparaliżowanego strachem, kurczowo trzymającego w objęciach mechaniczne zabawki malca. A potem odziana w lśniący uniform postać wykrzyknęła:

- Wracaj, Franz! Nie masz tu już nic do roboty!

Dla Teodora słowa te miały wartość zaklęcia. Może więc przybysz był Aniołem Stróżem, o którym wspominała mama i słowa modlitwy? Bo odległy już jedynie o metr, lśniący od potu, oblepiony sadzą demon zatrzymał się. Zacisnął wąskie, okrutne wargi i bez słowa, z posępnym wyrazem twarzy, ruszył w drogę powrotną. W czeluść.

- Proszę się nie bać, paniczu. To ja, steward Aldo. Zaraz pójdziemy do mamy i taty - szepnął ciepłym głosem biały wybawiciel; zapewne dostrzegł lęk zapisany w oczach chłopca. I strach Teodora zniknął jak płatek sadzy otarty z twarzy batystową chusteczką.

Ćwiczenie gry na skrzypcach, potem kolacja, kąpiel i wieczorny pacierz przepłynęły łagodnym, zwykłym torem - choć poprzedziły je ostre słowa rodziców, karcących nierozważne dziecko. Jednak później, nocą, Zofia kilkakrotnie zaglądała do niewielkiej kajuty, sypialni syna. Bo Teodor rzucał się krzycząc na wąskiej koi. Śnił mu się kapitan Eichhorn i jego klucz do nakręcania mechanizmów "La Luny". A także istoty okrutniejsze od zwierząt. I piekło z metalu.

- Wkrótce czas na posiłek - orzekł ojciec, spoglądając na cyferblat blisko stuletniego, kieszonkowego zegarka. Jednego z przedmiotów, które nabierały cech rodowej biżuterii, przechodząc w spadku z ojców na synów.

Stanisław Ossowicki zsunął na tył głowy melonik i otarł chustką pot z czoła. Potem sięgnął do kieszonki kamizelki po klucz przypięty do srebrnego łańcuszka. W dni świąteczne i gdy bywał pogodnie usposobiony, pozwalał swojemu pierworodnemu nakręcać pamiątkowy zegarek. Tym razem również tak uczynił, jednak nie omieszkał wypomnieć Teodorowi uchybień z poprzedniego dnia.

- Jesteś już dużym chłopcem, a nadal przyprawiasz matkę o spazmy swoim nieposłuszeństwem. Uprzedzam cię, synu, że pod rygiem różgi do końca podróży wszystko ma być jak w zegarku!

Potem, otrzymawszy czas do swojej dyspozycji, chłopiec spacerował z Lysettą i jej ojcem, panem Albertem Eislerem, zamożnym zegarmistrzem z Norymbergi. I bardzo miłym, uczynnym człowiekiem, co podkreślali wszyscy pasażerowie. Rozmowa nie trwała jednak długo. O w pół do pierwszej morscy podróżnicy pachnący słonym wiatrem Adriatyku, zachęceni przez stewarda Aldo, udali się do jadalni.

Po obiedzie Teodor jako jeden z pierwszych opuścił salony "La Luny". Kobiety komplementowały kuchnię i obsługę, panowie zebrali się w palarni. Chłopiec biegł więc beztrudno pustymi korytarzami, co skończyło się zderzeniem z mężczyzną wychodzącym z jednej ze służbowych kajut. Był to lekarz okrętowy Martineau.

Teodor, pełen skruchy wymamrotał przeprosiny i odszedł powoli ze spuszczoną głową. Był jednak pełnym fantazji

ośmiolatkiem, więc już w chwilę później gnał na pokład spacerowy. Miał nadzieję, że spotka tam jedyne, oprócz siebie dziecko zaokrętowane na "La Lunie" - Lysette Eisler.

Musiał czekać blisko godzinę, nim dziewczynka wyszła wraz z ojcem, by zażyć przechadzki.

Lysetta sprawiała wrażenie osłabionej. Nawet rozmawiając z chłopcem cedziła słowa, jakby każdy ruch, każdy wdech i wydech wymagały kolosalnego wysiłku. Paroksyzmy suchego, ostrego kaszlu wstrząsały jej drobnym ciałem, a ona tuszowała to zasłaniając usta batystową chusteczką.

Po kwadransie lub dwóch pan Eisler opuścił dzieci. Wówczas ruszyły wolnym krokiem w kierunku dziobu parowca. I nagle, w miejscu tak spokojnym i odludnym, dziewczynka jęknęła głucho. Mocno przycisnęła lalkę do piersi, rozpaczliwym gestem, a potem upadła na pokład.

Teodor był przerażony. I równie bezradny jak leżąca u jego stóp Lysetta, otulona pianą jedwabnych tkanin. Nastała nieznośnie długa chwila absolutnej ciszy, zakończona subtelnym brzękiem.

Spomiędzy koronek i fałd sukni wytoczyło się błyszczące kółko zębate, a za nim następne. Szczęknięty zapadki, sprężyny rozwijały się z budzącym dreszcze sykiem. Wreszcie mutry, tryby i sworznie, różnorodne części mechanizmu, potoczyły się grzechocząc po pokładzie. A za nimi sunął wąski strumyczek jaskrawoczerwonego płynu sączącego się z rozchylonych ust Lysetty.

Ręce i nogi dziewczynki zadrżały, nienaturalnie usztywnione w stawach, po czym zaczęły gwałtownie uderzać o deski pokładu. Trwało to kilka sekund. Kończyny nagle zamarły jak u lalki, gdy energia rozwijającej się sprężyny ulegnie wyczerpaniu. Potem nadciągnęły okrzyki i feeria ruchu postaci przesłaniających ciało dziewczynki. Teodor z trudem łączył to w spójny obraz.

Pełnię świadomości odzyskał, gdy prowadzony przez ojca, opuszczał miejsce wypadku. Odwrócił się wówczas i spojrzał na błyszczący w śródziemnomorskim słońcu stos metalowych części. Na szczątki mechanizmu. Na wszystko to, co pozostało z Lysetty.

Tuż przed kolacją Teodor wymknął się do kabiny Eislerów, ale go nie wpuszczono. Jednak przez zamknięte drzwi dobiegły go niepokojące dźwięki. Czy był to brzęk narzędzi ślusarskich, chrobot i zgrzyt dartego metalu?

Wreszcie gdy kilka zaferowanych osób, wraz z ojcem Lysetty i doktorem Martineau, wyszło z apartamentu na wieczorny posiłek, Teodorowi udało się zmylić stewarda. I przez chwilę mógł być sam z nieruchomo leżącą dziewczynką.

Rozgorączkowany, dotknął jej chłodnej, porcelanowej w dotyku twarzy. Włosów wyglądających w świetle lampy naftowej jak martwe. A potem zacisnął palce na przegubie szczupłej ręki dziewczynki. Pod opuszkami wyczuł niepokojącą twardość kości, ścięgien - przypominających wyroby ze stali.

- Nie jesteś prawdziwa, Lysetto - szepnął.

Obok łóżka, na podłodze, leżały szczątki lalek. Zabawek automatycznych i finezyjnych. Przypatrując się ich twarzom z porcelany, chłopiec odkrył prawdę. Bo Lysetta, oprócz wielkości i stopnia komplikacji technicznych rozwiązań, niczym się nie różniła od pozostałych dzieł Alberta Eislera, norymberskiego zegarmistrza. Teodor miał przed sobą androidy. Trzy Coppelie. Trzy zabawki.

Ojciec był wzburzony. Stwierdził, że chłopiec jest wyjątkowo niegrzeczny. Bowiem opuszcza kolację i włóczy się

nie wiadomo gdzie. Nawet nie stawia się terminowo, by ćwiczyć grę na skrzypcach. Według Stanisława Ossowickiego takie zachowanie sprawiało, że cały świat zdążał ku złemu i nic już nie chodziło jak w zegarku.

Tego wieczoru, po odmówieniu modlitwy, Teodor spytał matkę, kiedy przychodzi do niej Pan Bóg, by nakręcać jej sprężynkę. A może robi to ojciec? Zofia ofuknęła go w odpowiedzi i odeszła z posępnym wyrazem twarzy. Chłopiec zaś zrozumiał, że posiadał tajemnicę, która miała być przed nim zakryta.

Spocony, rozgorączkowany, starał się nie zasnąć. Chciał wiedzieć, czy ojciec mu wybaczył. Czy i tej nocy przyjdzie do niego cicho, ukradkiem, z kluczykiem od zegarka w dłoni.

Minęła północ, rodzice dawno już ucichli w swojej sypialni. Teodor, nie doczekawszy tajemnej wizyty ojca, zwlókł się z koi. Zdesperowany, zrozpaczony poszedł do salonu apartamentu. Zabrał stamtąd kluczyk od ojcowskiego zegarka, a potem wyrzucił go do morza. Przez bulaj, który otworzył w swojej kabinie.

Siedział na łóżku wsłuchując się w ledwie uchwytny szelest sprężyny odwijającej się coraz wolniej, gdzieś we wnętrzu, tam gdzie jest ona zwykle ukryta w każdym z ludzkich ciał.

Sięgnął po pozytywkę i nakręcił ją po raz ostatni. Kluczyk do tego mechanizmu również wyrzucił przez okienko, w czarne jak sadza wody Adriatyku. Teodor płakał i śmiał się, na zmianę, obserwując szybkie pociągnięcia smyczka po cynowym instrumencie. Patrząc na powolny taniec kolumn dźwigających nad skrzypkami szklany firmament. Z goryczą pogodził się z tym, że już nikt nigdy nie napnie sprężynki ukrytej w jego wnętrzu.

Na pożegnanie nadał Filarom Niebios nowe imiona. Pierwsza kolumna stała się kapitanem Eichhornem, druga lekarzem okrętowym, trzecia panem Eislerem, ostatnia zaś Stanisławem Ossowickim.

Teodor zapragnął zepsuć się jak Coppelie i zarazem odczuwał przed tym strach. Coppelie były przecież jego siostrami. A rozpacz może być prawdziwa, nawet jeśli zdaje się tylko karykaturą uczucia, zrodzoną wśród trybików, mutr i sprężyn. Teodor rozpaczał, bo konstruktorzy automatów i powiernicy ich dusz - kluczyków ze srebra - porzucili swoich podopiecznych. Swoje zabawki.

W oczadziałym gorączką umyśle Teodora rozbłysła nagle myśl. Wspomnienie słów kapitana Eichhorna: "Jesteśmy pierwszymi po Bogu". Oczywiście, to Eichhorn ukradkiem ożywiał sekretne mechanizmy statku. Książę "La Luny", stalowego piekła i jego mieszkańców. Lecz władcą ludzi, a raczej androidów, był doktor Martineau! Teodor wreszcie zrozumiał, kim jest Bóg, do którego matka kazała modlić się każdego ranka i wieczoru. Odkrył nareszcie Jego imię!

Otworzył oczy. wokół było jasno, jak za dnia. Usłyszał głosy. Najpierw ojca, a potem Boga. I Bóg powiedział: "Traktujmy sprawę poważnie, panie Ossowicki, to influenza". Dla Teodora było to objawienie - poznał słowo określające stan istnienia automatu bez kluczyka. Bez duszy. Zapewne chodziło tu o stan odmienny od śmierci, a Bóg, jeśli tylko chciał, dobierał nowy srebrny kluczyk. Teodor był o tym przekonany.

Odtąd, zawsze nienagannym chwytem, trzymał w dłoniach smyczek oraz gryf skrzypiec. I wszystko było jak w zegarku. Nawet niebo wirujące nad głową, gdy grał - zawsze tę samą - romantyczną canconę, stanowiło firmament niezwykłej piękności. Przezroczysty jak kawałek szkła napuszczanego

błękitem i bielą.

Tadeusz Oszubski

TADEUSZ OSZUBSKI

Urodzony 13.01.1958 r. w Bydgoszczy. Poeta, prozaik, radiowiec, dziennikarz. Autor fantastyki dla znawców i smakoszy; pisze gęstą, erudycyjną, kulturową prozę, w czym trochę przypomina Marka Pąkcińskiego. Drukowaliśmy jego opowiadanie "Rycerz Gwiazdy wigilijnej" ("NF" 3/94). Tamże obszerny biogram TO.

"Filary Niebios" w ciekawy sposób łączy fantastykę z badaniem psychologicznym, może medycznym, utrzymanym w konwencji staroświeckiej noweli grozy. Także - przewrotnie - filozoficznym: kłania się XVIII-wieczny wywrotowiec La Mettrie ze swym wyzywającym "Człowiekiem-maszyną".

(mp)